

ANDRZEJ SKOCZYLAS

# ZOBACZONE, ZAUWAŻONE...

Przywołuję ten tytuł rubryki, którą prowadziłem przed laty w kilku czasopismach, chociażby w *Wiadomościach Kulturalnych* czy w *SZTUCE*, bo to forma wygodna, pozwalająca w niesolenny sposób towarzyszyć zjawiskom i wydarzeniom ze sfery kultury dziejących się teraz, na naszych oczach. Wtrącać swoje trzy grosze...



Fresk przy ul. Freta w Warszawie, Bogdan Urbanowicz. Repr. za: *Przegląd artystyczny*, 1953 r.

**D**otyczy to w pierwszym rzędzie warszawskiego Starego Miasta (łącznie z Nowym, rzecz jasna), które z licznych swych rocznic obchodzi właśnie sześćdziesiątą *uprawomocnienia się planu zagospodarowania przestrzennego Starego i Nowego Miasta w Warszawie*. Czyli mówiąc po ludzku, zdecydowania o odbudowie, a dla mnie prywatnie, ta sama mniej więcej rocznica zainteresowania się nim i niemal dziesiąta tu zamieszkania.

Czy Stare Miasto jest zabytkiem? – od początku zdania były podzielone. Czy przy jego odbudowie, rekonstrukcji, budowaniu od nowa (budowanie od nowa zabytku? To nie absurd?) – opinie za i przeciw wyczerpały dawno swój repertuar argumentów bez ostatecznego rozstrzygnięcia, by doprowadzić jednak do konsensusu – jako dzieło bez precedensu w historii, tworzy nową jakość. Oceniać je trzeba w innych kategoriach niż dotychczasowe

czy klasyczne. Natomiast niekwestionowana, niepodważalna jest jego wartość jako pomnika narodowego dziedzictwa z jednej strony, a z drugiej – powszechne uznanie (w tym powyższych sprzeczności), czego najwyższym wyrazem jest wpisanie 2 lutego 1980 r. Starego Miasta na *listę światowego dziedzictwa kulturalnego*.

Kłopoty z definicją zabytku nie znikają jednak, nie dają o sobie zapomnieć. Wywołuje je chociażby niedawna akcja oznaczenia tabliczkami **Zabytek chroniony prawem szeregu obiektów**. I tak np. w pierzei ulicy Mostowej tabliczka umieszczana jest na budynkach, które są własnością komunalną, ale nie ma jej na takich samych budynkach, powstałych z tej samej koncepcji „odbudowy – budowy”, które są własnością spółdzielczą. Pojawia się na autentycznych, ocalałych z pożogi murach Starej Prochowni, ale i na „gotyckich” ceglach odbudowanych od podstaw murów katedry św. Jana, (przy okazji: czy to własność komunalna?), delikatnie mówiąc nie upiększając ich. Po-

mijam już wątek surrealizmu, jaki wnosi taka informacja na obiekcie takim jak katedra, będącym wręcz synonimem zabytku i to dla każdego, bez względu na cenzus wykształcenia.

A ta cegła gotycka? Czy można z całą pewnością wykluczyć, że pochodzi ona z zabytków Wrocławia, Nysy, Głogowa, wybie-rana z rozbieranych, wypalonych, prawdziwych gotyckich kamienic (które później oczywiście odbudowaliśmy) i pod hasłem *Cały naród buduje swoją stolicę* wysyłanych do Warszawy. Może właśnie na Stare Miasto? Wiem co mówię, bo jako dzieciak, uczeń wrocławskiego Liceum Sztuk Plastycznych, uczestniczyłem po lekcjach w czynach społecznych, które polegały m.in. na układaniu w przymy i przygotowywaniu do transportu do Warszawy „odzyskanych” z Ziemi Odzyskanych owych gotyckich cegieł.

Wszystko to prawda, lecz i same kłopoty z tej prawdy wynikające. Entuzjazm. Może się to dziś wielu nie podobać (i nie podoba się), ale taka jest po prostu prawda, że odbudowa warszawskiego Starego i Nowego Miasta, Mariensztatu itd. to wynik również wielkiego i **powszechnego entuzjazmu**. A także poczucia wagi sprawy łączącego przy ich odbudowie profesjonalistów, jak prof. Jan Zachwatowicz i arch. Józef Sigalin, ludzi o jakże różnych proweniencjach politycznych i środowiskowych, i rzesz anonimowych wykonawców. Rozsianych po całej Polsce nieszczęśliwych wygnańców z Warszawy, którzy tej odbudowie kibicowali, wspierali ją jak mogli (jak mój wuj we Wrocławiu, przysięgły słuchacz Wolnej Europy, niemogący zarazem doczekać się co tydzień nowego numeru *Stolicy* z najnowszymi wieściami z odbudowy) i przybyszów ze wsi, którzy dopiero zapuszczali tu korzenie. To wynik zgody narodowej, jednoczącej w tym punkcie we wspólnym froncie „Polskę lu-

belską” i „obóz londyński”, „czerwonych” i „czarną reakcję” jak się wtedy mówiło.

Dziś fakty te próbuje się tu i ówdzie przemilczać, albo podawać we „właściwym” świetle, ale przecież wymazać się ich nie da. Temu służą te moje uwagi, jak i przypomnieniu zasług, oddaniu sprawiedliwości za udział w tym wielkim dziele – w wielu aspektach jakże nowatorskim i prekursorskim – tyłu moich starszych kolegów, artystów plastyków. Począwszy od Zofii Stryjeńskiej, która obok wielkich postaci polskiej sztuki: Felicjana Szczęsnego Kowarskiego, Władysława Skoczylasa, Tadeusza Gronowskiego, już przed wojną projektowała tu polichromie (jak wystrój plastyczny kamienicy przy Rynku, którą po wojnie rekonstruował i twórczo uzupełniał Edmund Burke, zasłużony i wybitny artysta malarz, scenograf i pedagog). To oni: Jan Seweryn Sokółowski, (w dużym stopniu pod jego kierownictwem) Zofia i Roman Artymowscy, Halina i Leon Michalscy, Jan Zamojski, Hanna i Lech Grzeskiewiczowie, Jacek Sempoliński, Janusz Strzałecki, Krystyna Kozłowska, Czesław Wdowicki, Jan Karczewski, Stefan Garwatowski, Bohdan Urbanowicz, nadali temu magicznemu miejscu nad Wisłą, zwieńczonemu Zamkiem Królewskim – co jest osiągnięciem samym w sobie, niespotykanym nigdzie indziej – kształt, który jest chlubą nas wszystkich. Wczoraj i dziś.

Dlatego martwi mnie rozpadający się i bezpowrotnie niknący (bo nie wierzę, by dało się w dzisiejszym stanie integracji społecznej, a także gotowości do poniesienia wysiłku, zapobiec ostatecznej destrukcji i przywrócić mu pierwotny kształt) fresk Bohdana Urbanowicza na szczytowej ścianie kamienicy przy ulicy Freta, wspaniale eksponowanej od strony Barbakanu. Nie próbuję nawet apelować do odpowiednich „czynników”, bo obawiam się, że na końcu ewentualnego procesu przywracania stanu pierwotnego, z 1953 roku, zabraknie umiejętności.

Wiąże się zresztą z tym malowidłem przewrotna strona anegdotyczna. Otóż jego autor, Bohdan Urbanowicz, profesor ASP, w czasie prac na Starym Mieście kierował niewielkim zespołem artystów. Poza docenianą już wtedy w środowisku pozycją malarza, przy tym zięcia przedwojennego rektora ASP Władysława Skoczylasa (co jest nie bez zna-



Fresk przy ul. Freta. Stan aktualny. Fot. autor

czenia, bo mało zdolnego młodzieńca rektor nie wpuściłby do rodziny) był wyrafinowanym erudyta. Narzę się tu środowisku, ale w dosyć powszechnej opinii, przeintelektualizowanie nie należy do najczęstszych grzechów malarzy. Był więc pod tym względem absolutnym wyjątkiem. Przy tym człowiekiem uroczym, ciepłym, uczynnym i otwartym, promieniującym wiedzą z różnych dziedzin, popartą gruntownym teoretycznym przygotowaniem. Dysponującym między innymi wiedzą i praktyką z zakresu technologii malarskich, podstawy działań artystów na Starym Mieście, ale i w ogóle fundamentu warsztatu twórczego. Urbanowicz zaprojektował wspomniany fresk jako kompozycję, która nie ma swego odpowiednika, jest czymś dosłownie oryginalnym. Tematyka kompozycji była czymś w rodzaju żartu, karykury. Przedstawiała iluzjonistycznymi trikami klasycystyczną architekturę, która była sztafażem dla krzątającej się murskiej trójki (chyba). I tego wszystkiego dziś nie ma.

Fresk należy do najtrwalszych technik. Tak, ale po spełnieniu, bagatelka, kilku warunków, przede wszystkim bezwzględne przestrzegania reżymu technologicznego. „Bodzio” (jak się familiarnie na niego mówiło) o czymś zapomniał. Jak we fraszce na intelektualistę; *ale tego nie wiedział, że ma na d... przedział*. Tynk wapienny zespolony mleczkiem wapiennym z pigmentem, al fresco, musi organicznie związać się z podłożem, z ceglany murem łączonym wapienną zaprawą. Gdy tak się nie stanie – odpada. A jeśli to był mur z cegieł „gotyckich”, z którego Wrocławia? Zawilgoconych, bo wyrwanych ze swego właściwego miejsca, w których zaczęły zachodzić reakcje chemiczne?

Może musiało dojść do katastrofy?

Były fresk przy Freta może beznamiętnie lecz dobrze ilustruje odchodzenie w niebyt sfery publicznej, której zarówno jego treść, jak i wymowa całego Starego Miasta służyły. Miały „służyć ludowi”. Może jeszcze dobitniej wyjaśnia to zjawisko powolne znikanie ze Starego Miasta tak zwanych **ciągów pieszych**. Całe sztaby architektów, urbanistów, socjologów, plastyków itd. głośliły się nad tym, jak w najbardziej atrakcyjny sposób **poprowadzić** (stąd ten dziwny termin – ciąg pieszy) ludzi po pracy, w ramach wypoczynku, po malowniczych zaułkach, platformach widokowych, romantycznych schodkach, wyrafinowanych dzielkach małej architektury, wokół ukwieconych klombów, gazonów...

Dziś ciągi piesze zamknięte. Ten wzdłuż Mostowej, prowadzący od Freta do pozostałych jeszcze jakimś cudem terenów rekreacyjnych (a więc jeszcze publicznych) pod Skarpą... To wyjście od Kanonii przez najwęższą warszawską kamienicę na najwspanialszą platformę widokową na Wisłę na Gnojej Górze... Ten od placu Zamkowego z widokiem na zamkowe ogrody... Zostały zamknięte na klucz, piękne, wyczelowane bramy prowadzące do tych ciągów przez „upodmiotowionych” w międzyczasie, dawnych szczęśliwców – mieszkańców, dziś suwerennych właścicieli. Nie życzą sobie!

Czekam na zakończenie trwających przez dziesięciolecia prac porządkujących Arkady Kubickiego. A może po zakończeniu prac, również zostanie zamknięty przebiegający obok nich, jeszcze przedwojenny „ciąg pieszy” przedłużający ulicę Bugaj? Niech zamkną. To porozmawiamy. ■